

EDELWEISS 1943

World at War



Dwa palce za posterunek

RUMBURAK JOKERMAN

9 września 1943

Ranni odzyskali przytomność, choć każdy z nich zrobił to na swój sposób, jakby już w tym pierwszym momencie chcieli pokazać, kim będą dalej. Samantha ocknęła się gwałtownie i niemal natychmiast stwierdziła, że musi wracać do jednostki, jakby wojna była czymś, co da się odhaczyć w rozkazach, a nie rzeczywistością, która jeszcze przed chwilą trzymała ją za gardło.

Alissa Morath była zupełnie inna. Leżała chwilę w ciszy, zbierając myśli, po czym spokojnie powiedziała, że zostaje, bo zwyczajnie nie da rady wrócić do swoich.



Pierwsza jest idiotką, druga przejawia inteligencję.

Nie mamy radia, więc wezwanie transportu nie wchodzi w grę, a jedyną alternatywą pozostaje samodzielne przedzieranie się przez kanion, śnieg i obszar działań wojennych, co brzmi raczej jak wyrok niż plan. Dlatego Alissa wybrała pozostanie u nas – dało jej niewielką,

ale jednak realną szansę na przetrwanie, zwłaszcza że rana w klatce piersiowej zaczęła wykazywać oznaki infekcji i z każdą godziną coraz trudniej było udawać, że mamy sytuację pod kontrolą.

– No zabijcie! – ryknęła Rolfine, gdy dowiedziała się, że oddział się powiększa.
– Kolejna gęba, dla której muszę gotować!

Trzeba przyznać, że nasza kucharka to kobieta o charakterze, którego lepiej nie testować. Schneider, *Schwarze Witwe*. Czarna Wdowa. Tak nazywały ją gazety i raczej nie bez powodu. Jej złość wyraźnie osłabła dopiero wtedy, gdy wyszło na jaw, że

Alissa w cywilu pracowała jako pomoc kuchenna. Śmiem twierdzić, że Rolfine nawet się ucieszyła, bo po raz pierwszy od dawna pojawiła się perspektywa jakiegokolwiek wsparcia, choćby najmniejszego.

Nie daliśmy rady powstrzymać Samantha przed odejściem. Jeszcze swoje pięć groszy dołożył Roth.

- Zgodnie z paragrafem 116 regulaminu, żołnierzowi należy umożliwić jak najszybszy powrót do jednostki macierzystej. Nie wiem czemu próbujecie kolejny raz łamać zasady naszej armii. Nie zapomnę wspomnieć o tym w raporcie.

Świetnie debilu, właśnie dołożyłeś rękę do wyroku śmierci na niej. Cudem będzie jeśli nie zabije jej zima. A dalej będzie jeszcze gorzej.



Jakim cudem Weiss nadal jest tutaj dowódcą, pozostaje dla mnie zagadką, zwłaszcza że zgubił pistolet.

- Musiał mi wypaść, jak zaatakował nas niedźwiedź! – tłumaczył się, kiedy Roth grzmiał (znowu) o donosach do dowództwa.

Tak... oczywiście. Zapewne zamiast strzelać, rzucił w zwierzę bronią.

Zima wcale nie odpuszcza. Nocami temperatura spada do minus dwudziestu stopni, w dzień ledwie trzyma się około minus pięciu, a my oczywiście nie mamy żadnych mundurów zimowych. Coś trzeba będzie wymyślić. Tylko kto tutaj jest od

myślenia?. Roth z zimna popada w otępienie i krąży bez celu po swoim baraku, Weiss obsesyjnie szuka pistoletu, bo boi się donosu, a ja już wiem, że jeśli znowu będę musiał zszywać go po spotkaniu z niedźwiedziem, to raczej z braku alternatyw niż z poczucia obowiązku.

Jakby tego było mało, Morath zaczęła majaczyć z bólu. W normalnych warunkach podałbym jej morfinę albo przynajmniej opium, ale nie mamy tego pod ręką. Coraz mniej mamy czegokolwiek, zwłaszcza że sytuacja przybrała obrót, którego nikt się tu nie spodziewał. Dżuma. Tak, kurwa, dżuma. W zaśnieżonym kanionie. Zarażeni są Alissa, Tobiasse, Falk i Keller. Zarządziłem izolację w lazarecie, a Vogel biega, lejąc fenol z taką gorliwością, jakby to była woda święcona.

Musimy się ogarnąć. Naprawdę ogarnąć posterunek i przestać liczyć na mityczny „transport zapasów”, który istnieje tylko w rozmowach. Dowództwo o nas nie pamięta. A może nigdy nie pamiętało.

12 września 1943

Zima daje nam popalić w sposób bezlitosny i systematyczny. Piżdzi niesamowicie, tak po prostu, bez żadnych przerw i wyjątków, a mróz wdziera się wszędzie, jakby miał osobisty interes w doprowadzeniu nas do ruiny. Co chwilę do lazaretu trafia ktoś z odmrożeniami. Palce, stopy, uszy. Czasem drobiazgi, czasem coś, co jeszcze kilka dni temu było całkiem sprawne, a teraz nadaje się tylko do bandażowania i obserwowania.

Na szczęście Vogel w końcu przemówiła do rozsądku naszym bezmózgom... to znaczy dowódcom. Radiostacja, która i tak była tylko martwym meblem, została rozmontowana. Zamiast niej stoją teraz dwa prowizoryczne stoły zawalone kartkami, mapami, szkicami i notatkami, które mają udawać planowanie. Może faktycznie uda się z tego wycisnąć parę sensownych ulepszeń posterunku, choć na razie wygląda to bardziej jak terapia zajęciowa dla ludzi, którzy nie mają już złudzeń.



Morath i Moser zaczęły szyc proste płaszcze ze skór. Materiału nie brakuje, bo Klara i Tobiasse regularnie łążą po kanionie, zbierają truchła, a czasem nawet coś upolują. Gdyby nie one, już dawno zdechlibyśmy z głodu albo z zimna, a może z jednego i drugiego naraz. Trzeba im oddać jedno: jakieś przebłycki inteligencji te debile jednak miewają, choć zazwyczaj pojawiają się one przypadkiem.

Nie zmienia to jednak faktu, że cofamy się w rozwoju w tempie, którego nie powstydziliby się żadne średniowiecze. Z Rothem rozrysowaliśmy projekt łuku refleksyjnego. Tak. Kurwa. Łuku. Nie karabinu, nie nawet prymitywnego muszkietu. Pierdolonego łuku. A ile się musiałem nasłuchać pieprzenia zastępcy naszego dowódcy, o tym, że to nie jest w pełni regulaminowe uzbrojenie to nie wspomnę... Kiedyś naprawdę pomyłę leki. Łuki zrobiliśmy dla Alissy i tego debila, który ciągle gubi broń, czyli naszego dowódcy Weissa.

Ten, oczywiście, zupełnie nie dostrzegł powagi sytuacji. Mamy rok 1943, a on cieszy się z łuku, jakby właśnie dostał zabawkę.

– Zawsze chciałem być jak Rauben Haube! – stwierdził z entuzjazmem, kiedy próbował napiąć cięciwę, walcząc z nią jak dziecko z za ciasnym swetrem.

Zajebicie. A ja zawsze marzyłem o tym, żeby podlegać pięćdziesięciolatkowi z umysłem dziesięciolatka.

15 września 1943

Fuchs wpadł w szal mordu i postanowił zabić Weissa. W normalnych okolicznościach powiedziałbym: proszę bardzo, kolejka jest tam. Ale nie w ten sposób. Nie tak bezpośrednio, bez planu i bez krzty finezji. Do takich rzeczy trzeba podejść z wyczuciem, tak żeby nie było świadków ani podejrzeń, a nie rzucać się z pięściami na dowódcę jak chłop na jarmarku. Przeszkadza ci dziadyga na czele? Zagadaj do mnie. Lek od trucizny odróżnia tylko dawka, a ja naprawdę nie lubię partactwa.

Falk z Kellerem zareagowali szybciej, niż się spodziewałem, i powstrzymali Andreasa, zanim zdążył zrobić coś naprawdę głupiego. Dostał od nich kilka solidnych kuksańców, takich bardziej ku oprzytomnieniu niż karze, i wylądował w lazarecie. Teraz leży i patrzy w sufit, jakby próbował sobie poukładać w głowie, w którym momencie jego życie poszło nie tak.

Zaczynam się nudzić. Może i fajnie, że wojna jak na razie nas omija, ale ile można siedzieć w tym samym miejscu, gapiąc się na te same ściany i tych samych ludzi. Weiss najwyraźniej coś podobnego zauważył, bo wspomniał, że moglibyśmy wyjść na patrol, rozeznać się w sytuacji i pokazać, że posterunek jeszcze oddycha. Aż tak się nie nudzę. Nikt przy zdrowych zmysłach nie wychodzi w teren przy wyczerpujących się zapasach i braku wsparcia. No dobra, nikt poza Moser, ale ona i tak łązi gdzie chce i wraca z rzeczami, których nikt inny by nie załatwił.

Ostatnio przytargała dwa kartony fajek, i to nie od naszych, tylko ze Sławonii. Podobno zapłaciła za nie kilkoma parami spodni zdjętych z poległych lotników. Trzeba jej oddać jedno: ma dziewczyna łeb do interesów i kompletny brak skrupułów, co w tych warunkach okazuje się zaletą.



Przed wojną Klara nie należała do najgrzeczniejszych osób. Przemytniczka, hochsztaplerka, złodziejka – lista jest długa, a kartoteka musiała być gruba jak książka telefoniczna. Ktoś kiedyś na pewno napisze o niej książkę, o ile sama tego wcześniej nie zrobi.

Miała na koncie jedną z bardziej kompromitujących historii armii szarotki - kradzież transportu broni i amunicji, który później trafił na ulice Alte Stadt w taki sposób, że brak kilku tysięcy karabinów i pistoletów odkryto dopiero po paru miesiącach. Po zatrzymaniu zdołała uciec, uwodząc jednego z wachmanów i opuszczając areszt w jego mundurze. Sprawę po cichu zamknięto, zbyt kompromitującą dla naczelnego dowództwa, by ją nagłaśniać. I tak wszyscy o niej wiedzieli, bo Klara chwaliła się tym na lewo i prawo.

W nagrodę wojsko zrobiło z niej odpowiedzialną za magazyn i aprowizację. Jak na ironię losu, świetnie się w tej roli odnajduje. Dzisiaj „załatwiła” ładne, czerwone futro, które podarowała swojej kuzynce Tobiasse. Skąd je wzięła, nie wiem, choć łatwo się domyślić. Jego poprzednia właścicielka na pewno nie będzie zadowolona, kiedy odkryje stratę.

20 września 1943

Była pierwsza w nocy, dziewiętnastego września, kiedy Rolfine zaczęła dmuchać w trąbkę. Nie było w tym nic melodyjnego ani nawet rytmicznego, raczej chaotyczne, rozpaczliwe wycie, ale nikt nie miał wątpliwości, co to oznacza. Atak. Sarmaci

nadeszli. I nie przyszli sami. Przyciągnęli ze sobą artylerię, jakby chcieli od razu zaznaczyć, że tym razem nie zamierzają tylko postraszyć.



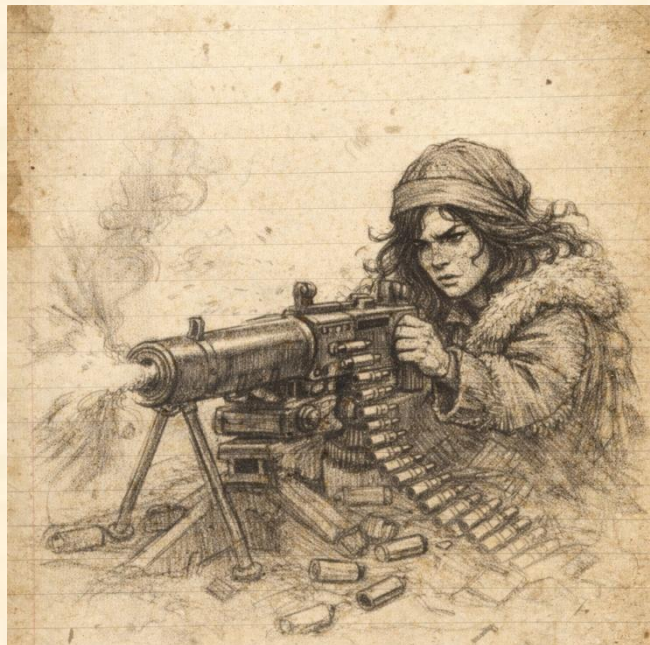
Zerwaliśmy się na równe nogi. Może i jesteśmy bandą degeneratów, ludzi zebranych tu przez przypadek, pomyłkę albo cudzą głupotę, ale w takich chwilach instynkt bierze górę nad rozumem. Nie ma miejsca na rozważania ani wątpliwości. Albo my, albo oni.

Tobiase... nie chciałbym jej spotkać po drugiej stronie barykady. Kiedy my obsadzaliśmy stanowiska i próbowaliśmy przypomnieć sobie, z której strony trzyma

się broń, ona przeczołgała się w stronę Sarmatów, niemal zlewając się z terenem. Oddała dwa strzały. Tylko dwa. Wystarczyło. Dwóch padło, a zaskoczeni szlachcice z Grodziska najwyraźniej zapomnieli o swoich misternych planach. Zamiast dalej rozstawiać działa, ruszyli na nasze pozycje jak rozjuszony stado, napędzane wściekłością i dumą.

To był ich błąd.

Wpadli prosto pod ogień naszych dwóch kaemów, obsadzonych przez Morath i Weissa. My też strzelaliśmy, chaotycznie, jak popadnie, bardziej z odruchu niż z jakiegokolwiek taktyki. To nie była bitwa w podręcznikowym sensie. To była rzeź. Nie liczyliśmy, ilu ich padło. Nie było na to czasu ani potrzeby. Huk, świst pocisków, krzyki i eksplozje zwały się w jeden ogłuszający hałas, który trwał dobrą godzinę i zdawał się nie mieć końca.



Kiedy bitewny kurz i dym wreszcie opadły, odetchnąłem z ulgą, choć nie była to ulga czysta ani pełna.

Nie wiem, czy kogoś trafiłem. Może i kogoś zabiłem. W tamtym momencie nie miało to znaczenia. Liczyło się tylko to, że udało nam się. Posterunek stał. Przynajmniej na razie.

Potem przyszło to, czego nienawidzę najbardziej. Sklejanie do kupy naszych. Zbieranie rannych, opatrywanie, zszywanie, próby zatrzymania krwawień, które nie chciały się zatrzymać. A później sprzątanie pobojowiska i konieczność spojrzenia w twarz zabitym, bez możliwości odwrócenia wzroku.

Dwójkę Sarmatów udało się odratować. Vogel się uparła, żeby ich hospitalizować.

– Lekarz nie patrzy na kolor munduru – stwierdziła, jakby wygłaszała oczywistą prawdę.

Polemizowałbym. Bardzo chętnie. Ciekawe, czy gdybyśmy byli na ich miejscu, ktokolwiek z nich pochyliłby się nad nami z bandażem w ręku. Wątpię. Ja w tamtym momencie najchętniej podciąłbym im gardła, bez zbędnych dyskusji. Zwłaszcza gdy chwilę później trafiłem do naszego lazaretu. Falk, Rolfine, Moser, Keller, Tobiasse, Fuchs. Wszyscy mniej lub bardziej poturbowani. Moser i Tobiasse straciły po jednym palcu w lewej ręce. I ja mam niby leczyć ludzi, którzy jeszcze przed chwilą próbowali nas zabić?

Dzisiaj było już tylko gorzej. Zaczęliśmy sprzątać pole walki, zbierać trupy i to, co z nich zostało. Każdy kolejny ruch wydawał się cięższy od poprzedniego, jakby samo powietrze stawiało opór.

Nienawidzę Pollinu. Nienawidzę go całym sobą. Dzisiaj jesteś w jednym państwie, jutro w drugim. Ostatnie, co pamiętam z tego dnia, to moment, w którym odwracałem jedno z ciał. Wystarczył jeden rzut oka, żebym poznał te rysy. Nonna. Trzecia żona mojego ojca. Moja macocha.

24 września 1943

Więcej nie pamiętam. Po prostu czarna dziura. Ocknąłem się w lazarecie, leżąc na łóżku, z tępym bólem w głowie i uczuciem, jakby ktoś wyciął mi z życia kilka stron i zapomniał je oddać.

– Wpadłeś w katatonię – stwierdziła chłodno Vogel, stojąc nade mną z rękami założonymi na piersi. – Jest dwudziesty trzeci września.

Dwudziesty trzeci. Świetnie. Trzy dni wyjęte z życia, jakby ktoś je skreślił jednym ruchem ołówka i uznał, że i tak były niepotrzebne.

Nie było jednak czasu na rozmyślania ani na próbę poskładania tego, co mi umknęło. Sarmaci nie próżnowali. Wypuścili na nas swoje szczury. Wybuchowe szczury. Paskudztwo znane jeszcze z poprzednich wojen, które nigdy nie powinno było ujrzeć światła dziennego. Najgorsze jest to, że po zakończeniu tamtych konfliktów te stworzenia trafiły na wolność. Teraz co chwilę słyszy się o pożarach albo zgonach



spowodowanych przez te bestie. Mają bowiem jedną, wyjątkowo perfidną cechę – wybuchają po śmierci. Kto je stworzył? Nikt się nie przyznaje. Każde państwo zrzuca winę na inne, a my, lekarze, zostajemy z poszarpanymi ciałami i igłą w ręku.

Na szczęście tym razem nasze kule wystarczyły, żeby je powstrzymać. Zachodnia część kanionu stoi teraz w ogniu. Płomienie tańczą między skałami, a lekki śnieg, który zaczął padać, być może ograniczy pożar, choć trudno tu jeszcze mówić o jakimkolwiek szczęściu.

Kilka rzeczy mnie ominęło. Roth, nasz chodzący regulamin, zaczął trzymać się bliżej Alissy, niż ten jego ukochany regulamin na to pozwala. Keller oświadczył się Moser. Jeśli jedna bitwa potrafi tak poprzestawiać ludziom w głowach, to nie chcę nawet myśleć, co się z nami stanie, jeśli utkwimy w Kanzelpass na rok.



Jakby tego było mało, w posterunku zadomowiła się niedźwiedzica. Nazwali ją Alberta. Najwyraźniej się oswoiła, bo krąży swobodnie między barakami i wyżera mięso ze spiżarni, jakby była jednym z nas. Przynajmniej nie pieprzy głupot i nie wydaje rozkazów, więc pod względem inteligencji zdecydowanie przewyższa resztę tej zgrai.

26 września 1943

Nasz dziadyga Weiss zaczął mizdrzyć się do Rolfine, jakby wojna była tylko nieprzyjemnym przerywnikiem w romansie, a nie realnym zagrożeniem, które co chwilę zagląda nam w oczy.

– Miód, cukier i cynamon – usłyszałem, jak mówi do niej z miną człowieka przekonanego o własnym uroku. – Jestem pewny, że jesteś z tego stworzona.

Się pan poeta znalazł. Ciekawe, co powie żona, jeśli kiedykolwiek się o tym dowie. Podejrzewam, że reakcja będzie znacznie mniej słodka i zdecydowanie pozbawiona cynamonu.



Zresztą długo nie było czasu na takie obserwacje, bo sytuacja znowu się zagotowała. Ryk silników rozdarł powietrze nad kanionem, niosąc się echem między skałami. Związek Rad zrzucił spadochroniarzy prosto na nasz posterunek, jakby ktoś uznał, że do tej pory mieliśmy za spokojnie. Tym razem jednak wiatr stanął po naszej stronie. Rozrzucił ich po całej okolicy, porozwieszał na drzewach i skałach, zamieniając zorganizowany desant w chaotyczną zbieraninę celów. Ich likwidacja była już tylko formalnością, brutalną, ale krótką.

Czwórka przeżyła i trafiła do naszego więzienia. Opatrzyliśmy ich, bo mimo wszystkiego nadal udajemy, że trzymamy się jakichś zasad. Roth krążył między łózkami, próbując ich przesłuchiwać, pochylając się nad twarzami ludzi, którzy ledwie oddychali.

Tak. Na pewno wyciągniesz informacje od nieprzytomnych gości.

Nazajutrz żołnierze Kolektynu znowu przystąpili do ataku. Tym razem bezpośrednio, bez kombinowania, bez obejścia, bez planu. Jak barany prowadzone na rzeź. Po prostu rzucili się na nasze pozycje, licząc chyba na to, że sam impet załatwi sprawę. Srogo za to zapłacili, bo ślepa odwaga nie zastępuje taktyki, a my byliśmy już wystarczająco wkurzeni i doświadczeni, by to wykorzystać.



– Brakuje nam łóżek w więzieniu – zameldowała Vogel, patrząc na mnie z miną, która mówiła, że odpowiedź jej się nie spodoba. – Co robimy?

– Ilu się zmieści, tylu się zmieści. Resztę dobijemy – odpowiedziała Moser, bez wahania i bez emocji.

Pragmatyczne podejście. Do bólu.

Vogel chciała zaprotestować, już nabierała powietrza, ale zamilkła w pół słowa, kiedy zobaczyła, z jaką precyzją Klara podżyła gardło rannemu. Dla niego zabrakło miejsca w celi. I dla sześciu kolejnych też.

29 września 1943

Sarmaci nie odpuszczają. Jeszcze nawet nie skończyliśmy sprzątać po walkach ze Związkiem, kiedy przypuścili kolejny szturm na posterunek, jakby chcieli sprawdzić, ile jeszcze jesteśmy w stanie znieść, zanim coś w końcu pęknie na dobre.

Łatam teraz rannych. Naszych. Na Sarmatów nie było ani czasu, ani rąk. Jeśli jacyś przeżyli pierwsze minuty po walce, to wykrwawili się na śniegu, bo nikt nie miał możliwości się nimi zająć. Mało który z nas wyszedł z tego bez szwanku. Ja dostałem



dwoma rykoszetami, na szczęście niegroźnymi, choć bolesnymi. Vogel dostała bezpośredni postrzał. Jak na ironię losu, zachowała się dokładnie tak, jak można było się po niej spodziewać.

– Zdążysz mnie opatrzyć – powiedziała, odtrącając mnie ruchem ręki, i ruszyła zszywać Weissa, jakby własna krew była tylko drobną niedogodnością.

Nie zdążyłem.

Straciła przytomność z powodu utraty krwi chwilę po tym, jak otworzyła drzwi więzienia. Ośmiu jeńców natychmiast wyczuło okazję i uciekło, korzystając z zamieszania. Nie było komu ich gonić. Każdy, kto mógłby ruszyć w pościg, albo krwawił, albo leżał już na ziemi. Przeniosłem Frau Blau do lazaretu i tym razem opatrzyłem ją bez protestów, bo zwyczajnie nie była w stanie się sprzeciwić. Ocknęła się dopiero następnego dnia.

Niedoszła zakonnica. Postawiła ludzkie dobro ponad nakazy matki przełożonej i zapłaciła za to wysoką cenę. Wyrzucili ją z klasztoru, dokładając jeszcze łatkę puszczalskiej. Tak, „nieobyčajne prowadzenie się” było oficjalnym powodem wydalenia. Później pracowała w kilku szpitalach jako pielęgniarka, zmieniając miejsca częściej, niż ktokolwiek uznałby za normalne. Za często stawiała ludzkie życie ponad dochody i zadowolenie sponsorów, a do dyrekcji dziwnym trafem zawsze docierała informacja, że była kiedyś zakonnica. Teraz trafiła tutaj. Podobno na własne życzenie. Albo jest tak wielką idealistką, albo tak wielką idiotką. A może jednym i drugim naraz.

Wygląda na to, że pierwsze walki skutecznie wybiły jej z głowy idealizm, a przynajmniej sielankowy obraz wojny znany z tanich romansideł. Dzisiaj nakryłem naszą panią lazaretu siedzącą pod ścianą, z pustą piersiówką leżącą obok. Pewnie znalazła ją przy którymś z poległych napastników. Podniosłem butelkę i powąchałem. To nie był alkohol. M-Saft. Sok z konopi.

Dlatego miała taki nieobecny wzrok. Niby wyglądała na szczęśliwą, ale patrzyła gdzieś w dal, jakby czegoś szukała. Może resztek własnej godności.

– Brawo, panno Vogel. *Primum non nocere*. Mówi to coś pannie? – spytałem, choć wiedziałem, że odpowiedzi nie dostanę.

I nie dostałem. Zabrałem ją z powrotem do lazaretu. Mam tylko nadzieję, że



nasza idealistka nie przeistoczy się w narkomankę, bo tego już naprawdę nie udźwigniemy.

Weiss też nie wytrzymał. Dostał zapaści i leży nieprzytomny. Robi się naprawdę nieciekawie. Większość z nas jest poraniona. Vogel jest na haju, dowódca wyłączony z gry, Moser nie wychodzi z baraku, a leków nie mamy już praktycznie wcale. Sarmaci tylko czekają na taką okazję. Jeśli uderzą teraz, zostanie nam już tylko modlitwa.